

EWA FORMELLA

Drewniany  
aniołek



Piękna historia pachnąca ciasteczkami i rozgrzewająca  
jak gorąca czekolada w mroźny dzień.

EWELLA



EWA FORMELLA

Drewniany  
aniotek

FILIA



*Dla Zuzi i Poli, dwóch najpiękniej  
świecących słoneczek, które nawet w pochmurny dzień  
potrafią sprawić, że świat się do mnie uśmiecha.*



## PROLOG

*Kiedys... Dawno temu...*

Nikiszowiec zasypany był śniegiem. Dawno na Śląsku dzień Wigilii nie był tak biały jak w tym roku. Barbara Kowolik kończyła dekorować makówki, które były obowiązkowym wigilijnym daniem, oczywiście po karpniu i grzybowej. W domu nie było ani tradycyjnego barszczu, ani tradycyjnej zupy rybnej gotowanej na głowach ryb, bo Zygfryd nie lubił tych dań, chłopcy też woleli grzybową, więc od lat na ich wigilijnym stole stała ta właśnie

zupa obowiązkowo z chlebowymi grzankami. Jak jeszcze żyli dziadkowie ze strony Barbary, to w wigilię tradycyjną potrawą, której nie mogło zabraknąć, była zupa z rybich głów z grzankami.

Zygryd wychowywał się w domu dziecka na północy Polski i tam standardowo był barszcz z uszkami, którego on z niewiadomych przyczyn nie lubił. Kiedy jednego roku trafił na święta do pewnej rodziny bardzo zmieszanej pochodzenia i na wigilię podano zupę owocową z kluseczkami, bardzo się ucieszył. Pierwszy raz jadł coś w rodzaju kompotu z lanymi kluskami na talerzu, ale o dziwo mu smakowało. Nie zdołał jednak przekonać swojej żony do tego dania, Barbara uważała bowiem, że kompot z suszu to kompot, a nie żadna zupa, i tak w drodze kompromisu stanęło na zupie grzybowej prawie rybnej, bo z suszonych grzybów, gotowanej na głowie karpia i z dużą ilością warzyw, za którymi oczywiście chłopcy nie przepadali.

– Franuś, postaw na stole szklanki z kompotem – zawołała Barbara do jednego z synów.



– A Zbychu nie może? – Buńczucznie odezwał się chłopiec.

– Możesz mi powiedzieć, co masz innego do roboty w tej chwili?

– No dobra, pięć?

– Tak, pięć.

– A czemu pięć, jak i tak nikt nigdy do nas na wiliję nie przychodzi?

– Bo taka jest tradycja, puste naczynie dla gościa z drogi, nie pamiętasz, głąbie? – Do kuchni wszedł drugi z synów Barbary.

– Chłopcy, w takim dniu moglibyście sobie odpuścić pyskówki. Zbyszek, sztućce na stół i to mi-giem, bo zaraz ojciec wróci i siadamy do stołu.

– A choinka? – zapytał młodszy.

– Jeszcze niegotowa? To co wyście, huncwoty, robili przez ten cały czas w pokoju?

– Oj, mamuś, nie nerwujcie się, choinka ubrana jak ta lala – roześmiał się chłopak.

Kowolikowa spojrzała na zegar stojący na komodzie i zamarła. Jej mąż powinien już być w domu co najmniej dwie godziny temu, do knajpy

nie poszedł po szychcie, bo w takim dniu nie odważyłby się zamiast do domu iść z kolegami na piwo. Zresztą zapewne każdy z nich spieszył się do rodziny, wszak Wigilia jest tylko raz w roku. Potem Zygfryd miał mieć dwa dni wolnego, akurat na całe święta. Rzadko mu się zdarzało całe Boże Narodzenie spędzić z rodziną, w tym roku jakoś się udało. Wskazówki zegara powoli przesuwały się do przodu, a serce Barbary biło coraz szybciej. Coś było nie tak. Gdyby mąż musiał zostać dłużej w kopalni, wysłałby kogoś z wiadomością. W tym samym momencie, w którym Barbara pomyślała o wiadomości od męża, ktoś głośno zalomotał do drzwi.

– Kowolikowa! Kowolikowa, otwórzcie, to ja, Tereska!

Barbara szybkim krokiem podeszła do drzwi i z sercem bijącym jak szalone otworzyła. W korytarzu stała niska kobieta opatulona grubą wełnianą chustą narzuconą na płaszcz, z twarzą czerwoną jak burak.

– Ubierzcie się szybko i biegnijcie do kopalni. Podobno było tąpnięcie i waszego zasypało razem z sześcioma innymi.

– Jezus Maria! – Barbara natychmiast złapała palto. Wybiegając na korytarz, krzyknęła tylko do synów, aby nie ruszali się z domu na krok, i popędziła za sąsiadką w stronę kopalni.

Franek i Zbyszek chwilę stali oniemiałymi, jeden z widelcami w ręku, a drugi ze szklanką kompotu z suszu, i wpatrywali się w otwarte na oścież drzwi. Pierwszy opamiętał się Franek. Odłożył szklankę na stół i zamknął za matką. Oparł się o drzwi i popatrzył na brata. Zbyszek stał naprzeciwko, a po zarumienionych policzkach wolno spływały mu łzy.

– Franuś, ale tatę wyciągną żywego? – zapytał z nadzieją, spoglądając na brata.

– Pewnie, że wyciągną żywego, nie może być przecież inaczej. – Głos chłopca drżał, serce waliło jak szalone, a nogi nie chciały dłużej podtrzymywać cudzego ciała. – Chodź, klękniem przed obrazem Matki Boskiej i pomodlim się za ojca i innych, co z nim razem siedzą w tę Wiliję. – Wyciągnął rękę i mocno chwycił brata za drżącą dłoń, spoconą ze strachu.

Przeszli do pokoju rodziców i uklękli przed łóżkiem, nad którym wisiał obraz Maryi z dzieciątkiem

Jezus przy piersi. Za nią stał Józef, ale miał tak smutną twarz, że Franek wzdrygnął się na sam widok.

„Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna, pan z tobą...” – każdy z chłopców bezgłośnie zaczął szeptać modlitwę, każdy inną i każdy ze łzami płynącymi po policzkach. Sporo się w swoim młodym życiu nasłuchali od kolegów o zasypanych górnikach. W ich rodzinie jeszcze nigdy nikogo nie zasypało, raz jakiś daleki wujek miał wypadek, ale to nie było podczas tapnięcia, tylko w innych okolicznościach, jakiś wagonik się przewrócił i zmiażdżył wujowi nogi. Chłop został kaleką, ale szybko umarł, nie mógł żyć bez kopalni i babka mówiła, że umarł ze zgryzoty. Cokolwiek to znaczyło.

„Błogosławionaś ty między niewiastami i błogosławiony owoc...”

– Franuś, a czemu ten Jezusek ma być błogosławiony, skoro w takim dniu pozwolił, żeby nasz ojciec nie przyszedł na wiliję? On swojego dziś ma, a my?

– Zbysiu, mama by się zdenerwowała, jakby słyszała, co pleciesz. Módlmy się do Jezuska, żeby pomógł górnikom, a nie psioczym na Niego, bo On

za mały, coby być winnym temu tąpnięciu. Chodź do kuchni, nie wiadomo, kiedy rodzice wróca, a ja od rana nie miałem w ustach ani okruszka i sie mnie niemilosiernie.

Ciepłe dania takie jak zupa, gotowane kartofle i smażona ryba czekały w duchówce, na stole w pokoju stały miska z makówkami, talerz z grzankami i sernik oraz modro kapusta, którą Franek uwielbiał.

– Wróca? Na pewno? – zapytał Franek. – To może poczekajmy na nich.

– Jak chcesz, to se czekaj, ja jestem głodny jak wilk, a jak ojciec wróci, to po takim tąpnięciu będzie słaby i trzeba będzie mu pomóc się przebrać i umyć. Jak myślisz, mama sama da sobie z tym radę? A my, jak będziemy słabi z głodu, to jej z pewnością nie pomożemy.

– Może masz rację – westchnął Franek i nalął sobie do talerza chochlę zupy. Dosypał grzanek i powoli zaczął jeść, polykając wraz z zupą spływające do gardła lzy.

Zbyszek również nalął dla siebie i tak jak brat jadł, myślami będąc przy ojcu na dole w kopalni.

Ani ryby, ani kartofli żaden z chłopców nie odważył się spróbować. Kusily ich posypane orzechami makówki, ale powstrzymali się od nich. Usiedli na kanapie i Franek cichutko zaczął nucić kolędę. Nauczył jej ich jeszcze dziadek Francik, którego imię chłopiec otrzymał, a który był ojcem Barbary.

– Dzisiaj w betlyjce, tam pod Betlejem, cuda som i dziwy, bo prosto z nieba, aby świat zbawić, Gość wielgi tam przibyl. Ponboczek w stajni, idź go przigarnij, ci, co tak chcieli, tam przibieżeli, a my zaśpiywomy, piyknie porzykomy i mu coś fajnego domy! Panna Maryjka piastuje w rynkach Ponboczka małego i tak se myśli, niych mu sie przisni coś fest pobożnego.

– Ponboczek w stajni... – Zbyszek zaczął wtórować bratu, na chwilę zapominając o tym, że są w domu sami, a mama stoi zapewne na mrozie przed kopalnią i modli się do Najświętszej Pannienki, a ojciec... Oby nie myślał o śmierci, tylko o nich, o swoich synach, do których musi przecież wrócić cały i zdrowy. – Przyszli pastyrze, lotwarli dźwyrze, zagrali na lirze, czamu na sianie leżysz,

nasz Panie, kaj zogowek z piyrzym? Ponboczek w stajni...<sup>1</sup>

Barbara wróciła do domu po kilku godzinach, zmarznięta na kość, zapłakana. Wydobyli trzech górników, ale wśród nich nie było Zygryda. Ktoś przyniósł im pod kopalnię termos z gorącą herbatą, ktoś przyniósł w garnku gorącej zupy, wszyscy modlili się i płakali, bo przecież w takim dniu żaden z górników nie może umrzeć. Przecież w domach czekają na nich dzieci, żony, narzeczone, rodzice. Kiedy już nogi zmarznięte nie chciały Barbary utrzymać, postanowiła na chwilę wrócić do domu i się ogrzać. Wiedziała, że chłopcy sobie poradzą, w końcu mieli już po dziesięć lat, więc nie byli maluchami.

W mieszkaniu panowały cisza i chłód. W piecu kuchennym zgasło, a i w pokoju piec ledwo, ledwo był letni. Miała po wieczery dolożyć węgla, ale... wszystko potoczyło się nie tak, jak powinno.

---

<sup>1</sup> „Dziennik Zachodni” z 23 grudnia 2013 roku. Teksty popularnych kolęd na śląską mowę przetłumaczył Marek Szoltysek. Kolęda na melodię *Dzisiaj w Betlejem*.

Spojrzała na puste talerze na stole i się uśmiechnęła. „Dobrze, że młokosi chociaż po talerzu ciepłej zupy zjedli” – pomyślała. Powiesiła płaszcz i przeszła do pokoju. Chłopcy siedzieli na kanapie i spali, przytuleni do siebie, a na ich policzkach widniały zaschnięte łzy. Barbara przykryła synów pledem, który zrobiła jej jeszcze babcia, i zeszywniałymi od mrozu palcami zabrała się do rozpalania w kuchennym piecu. Po kilku minutach po pomieszczeniach zaczęło się rozchodzić ciepło.

Roztarła dłonie nad paleniskiem i się rozplakała. Myślała, że tam, pod kopalnią, wyplakała już wszystkie łzy, ale coś w niej jeszcze zostało. Nagle poczuła na plecach przyjemny dotyk i dwie małe rączki oplotły ją w pasie. Po chwili dołączyły kolejne dwie. Wiedziała, że chłopcy się obudzili, chociaż starała się zachowywać najciszej, jak potrafiła. Za oknem jeszcze nawet nie zaczęło świtać, gdy rozdzwoniły się kościelne dzwony. „Ciekawe, ilu ludzi było na pasterce, jak prawie większość mieszkańców Nikiszowca była pod kopalnią” – pomyślała i przytuliła synów.



– Zjemy śniadanie, ja się ogrzeję i wrócę pod kopalnię. Niech tata czuje, że jesteście z nim – szepnęła, polykając łzy.

– Możemy iść z tobą? Będzie mu miło, jak zobaczy, że wszyscy po niego przyszliśmy – powiedział Zbyszek.

– Nie! – Barbara odparła stanowczo, może zbyt kategorycznie, ale już było za późno, żeby cofnąć słowo powiedziane takim tonem. Położyła na głowie syna dłoń i pogłaskała go. – Wolałabym, żebyście zostali w domu, bo jakby tak jakimś cudem ojciec wyjechał na powierzchnię, a ja bym go nie zauważyła, to smutno mu będzie, jak nikogo tu nie zastanie. A poza tym ktoś musi pilnować pieca, żeby ojcu było ciepło, jak wróci. – Wiedziała, że nie ma takiej możliwości, aby minęła się z mężem pod kopalnią, bo wszystkich wydobytych zaraz zabierają do szpitala, ale chciała dać synom nadzieję.



## ROZDZIAŁ I

Grudzień w tym roku nie rozpieszczał pogodą. Pod koniec listopada sypnęło śniegiem i na chwilę zrobiło się przyjemnie i białe, ale już początek ostatniego miesiąca okazał się mglisty i deszczowy. Zosia wracała ze szkoły w wyjątkowo ponurym nastroju: nie dość, że wczoraj zapomniała wykonać obrazek na zajęcia SKK<sup>2</sup> ilustrujący ostatnio przeczytaną książkę, to jeszcze prawie całą drogę musiała przejść w mżawce otulającej ją ze wszystkich stron.

---

<sup>2</sup> SKK – Szkolny Klub Książki.

# WSPANIAŁA OPOWIEŚĆ O PRZYJAŹNI, KTÓRA NIE ZNA PRZESZKÓD.



**Do gdańskiej kamienicy wprowadza się nowa rodzina.**

**Zosia jest zachwycona, ponieważ wraz z rodziną wprowadza się Basia i Kasia - bardzo podobne do siebie siostry, będące mniej więcej w jej wieku.**

**Zosia bardzo szybko zaprzyjaźnia się z nowymi sąsiadami, szczególnie z panem Frankiem, dziadkiem dziewczynek, który potrafi z drewna wyczarowywać istne cuda. Przyglądając się pracy pana Franka, dziewczynka poznaje wiele gdańskich legend przeplatanych opowieściami o Śląsku.**



**FILIA**

**cena 47,90 zł**

wydawnictwofilii.pl



Klub książki

**ONA  
CZYTA**

Facebook.com/ONACZYTA

ISBN 978-83-8357-760-9



9 788383 577609